Ner 20. Kraków 21 sierpnia 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW

Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

(Ciąg dalszy).

X.

Marja wpośród tysiąca zniewag, przykrości i zdrad, czuła najboleśniéj brak wszelkich stosunków ze synem, wychowywanym przez jéj nieprzyjaciół. Odbierała o nim zaledwie urzędowe wiadomości i to w nader długich przestankach, a przecież pisała wówczas: „im bardziéj się starzeję, tém szaleniéj uczuwam co to jest miłość matki."

Oddalona od syna, pozbawiona Norfolka, swéj ostatniéj miłości, zwróciła teraz wszystkie swe myśli i usiłowania do walki przeciw swym ciemiężycielom i dozorcom. Obok tego jednak podwoiła troskliwą przyjaźń i wrodzoną dobroć dla swych przyjaciół, sług i stronników. Sama prawie nic nie posiadając, rozdzielała jednak resztki dawnéj świetności, a gdzie nie wystarczało podarków, tam zastępowała je swym czarownym uśmiechem, pełném taktu i dobroci słówkiem; krótko mówiąc, potęgą swoich powabów i serca stwarzała naokoło siebie światek serdeczny, wdzięczny i zgodny.

Rysunki Artura Grotgera.
z wystawy paryzkiéj 1867



VIII. LUDZIE CZY SZAKALE?!

Dawne przekleństwa i wyrzekania na nieprzyjaciół, zastąpiła obecnie większém skupieniem ducha, silniejszą i żarliwszą modlitwą. U stóp ołtarza w swojém oratorjum szukała wytrwania, zgodzenia się z losem — odwagi.

Nie zaniedbywała téż swego umysłu. Po ukończeniu długiéj litanii listów i depesz za granicę, rozrywała się tworzeniem poematów i czytaniem dzieł ulubionych od dawna, a które zawsze miała pod ręką. Z poetów Ponsard jak wiemy był jéj najsympatyczniejszym. Największą atoli dla niéj pociechą było czytanie dzieła natchnionego prawdziwą świętością, namaszczeniem gojącém rany każdego zbolałego serca, dzieła „o naśladowaniu Jezusa Chrystusa."

Tak licznemi zatrudnieniami przepędzając czas, niegdyś upływający jéj tak szybko i rozkosznie, nie zapomniała o zaskarbieniu sobie choćby drobnemi przysługami łaski nieubla-

ganéj Elżbiety. Posyłała jéj drobne podarki, hafty robione własną ręką, obdarzała także Leicestra, który grzecznie przyjmował, a jeszcze grzeczniéj dziękował, nieprzestając doradzać śmierci Marji „między czterema ścianami.“ Elżbieta zaś na podarki odpowiadała nakazaniem najsurowszego obejścia, tak, że kto się chciał jéj podobać, powinien był o ile mógł dręczyć uwięzioną. To téż wyżsi i niżsi wysilali swój dowcip, aby jéj jak najdotkliwiéj dokuczyć. Marja nie miała prawie co jeść i gdzie mieszkać, meble i potrawy były nie do użycia, a tu jeszcze przyłączyła się do tego obawa niepłonna otrucia, bo ją często doradzał Leicester.

Przekupieni ci wszyscy, którzy mogli donosić o każdym kroku Marji, o każdém jéj słówku posłaném za granicę, spełniali gorliwie polecenia; gdy się nie udało przekupić wierne sługi, oddalano je pod lada pozorem, oddalano tych wiernych towarzyszy niedoli, będących zarazem dla uwięzionéj przypomnieniem dni weselszych i świetniejszych.

Mjara prześladowań już się przelewała — Marja jednak nie traciła nadziei. Udało się jéj bowiem zawiązać stosunki z synem, wierni pośrednicy chcieli bowiem wyrobić traktat przypuszczający matkę do współudziału w panowaniu. Naturalnie, traktat taki przypuszczający Marję do korony, powracał jéj przez to samo wolność, co bynajmniéj nie leżało w planach Elżbiety i partji szkockiéj Mortona. To téż gdy ta ostatnia wymogła gwałtem na Jakóbie podstępnie sprowadzonym do Sztirling 1582 zrzeczenia się wszelkich stosunków z papieżem i katolikami, Marja zdarła nagle maskę, palącą ją niby koszula Nessusa, obmyła usta swe z nieszczerego pochlebstwa, którém się w gruncie duszy brzydziła, wybuchając długo dławionym sarkazmem. Sposobność tę poddała hrabina Shrewsbury, podejrzywająca męża o stosunki z Marją i podejrzenia te rozpowiadająca całemu światu. Marja, niewinna tym razem najzupełniéj, zażądała kary na potwarczynię, a gdy jéj uzyskać nie mogła, posłała Elżbiecie list, który jest arcydziełem pod względem złośliwego pomysłu i ogólnego tonu.

Powiada w nim, że nie mogąc dłużéj znieść złośliwości hrabiny Shrewsbury, musi królowéj opowiedzieć wszystko, co ta przewrotna kobieta na nią (Elżbietę) wygaduje. Tak naprzykład romansuje z Leicestrem, z księciem d'Anjou, i jednym z jego dworzaninów, wylicza tu długi bardzo szereg tych niby uszczęśliwionych łaską Elżbiety, zaprawiając opowiadanie skandalicznemi i głęboko Elżbietę upokarzającemi szczegółami.

Przeplata zaś opowiadanie złośliwéj hrabiny takiemi naprzykład ustępami:

„Mówiła mi (hrabina Shrewsbury), że jesteś tak dobrego o swéj piękności wyobrażenia, jak gdybyś była jakąś boginią.... że masz upodobanie w pochlebstwach pozbawionych zdrowego sensu, że mówią ci iż nie śmią patrzeć w twoją twarz, gdyż promieni się ona jak słońce.... że ona i hrabina Lennox mówiąc do ciebie, nie śmiały się patrzeć jedna na drugą z obawy głośnego parsknięcia śmiechem.“

Albo daléj gdy mówi o jakiejś Talbot, nie chcącéj wejść w służbę Elżbiety dla tego, że:

„Gdy wpadniesz w gniew, obawia się, abyś jéj tak nie zrobiła jak jéj kuzynie Skedmur, któréj wyłamałaś palec, udając potém w obec dworu, że to lichtarz potłukł jéj palce... jedném słowem, wierzaj mi, że ona cię naśladuje jak w jakiéj komedji, nawet przy moich kobietach, co ujrzawszy, przysięgam ci, iż zakazałam im surowo w to się mięszać.“

Albo gdy ją chce najdotkliwiéj ubódz w miłości własnéj:

„Gdy cztery lub pięć lat temu byłaś słabą, mówiła mi, że choroba twoja pochodzi z zamknięcia się fistuły, którą miałaś na kolanie, i że zapewne wkrótce umrzesz...“

Kończy wreszcie:

„Gdybym miała godzinę chociaż na to, opowiedziałabym ci poszczególe wszystkie nazwiska, czas, miejsca i inne okoliczności, abyś poznała należycie prawdę, którą chcę wyjaśnić skoro się zapewnię o twojéj przychylności; a pragnę jéj więcéj niż kiedybądź, to téż gdybym ją pozyskała, nie miałabyś w miłości lepszéj, wierniejszéj, bardziéj cię kochającéj przyjaciółki jak w twéj krewniaczce. Na Boga upewnij się raz o téj, która ci chce i może służyć.“

„Piszę w łóżku, zmuszając chorą moją rękę i nieznając cierpienia, aby cię zaspokoić i być ci posłuszną.“

Marja S.

Zakończenie listu jest szczytem ironii, chcącéj zgruchotać nielitościwą prześladowczynię i upokorzyć rywalkę. Po mistrzowsku się téż zabrała, uderzając dotkliwie w próżność kobiecą.

Na żądanie samego hr. Shrewsbury, zwołała Elżbieta swą radę prywatną, przed którą hrabina odwołała potwarze. Odbiło się to jednak na Marji, którą przewieziono z Scheffield, gdzie ślęczała czternaście lat, do Wingfield (1584 roku) i oddano pod dozór Ralfa Saddlera i Sommersa. Ścieśniono i obostrzono regułę więzienną. Marja nadarmo odwoływała się do książąt zagranicy, znudzonych zapewne jéj narzekaniem. Gwizjusze nawet, najbliżsi krewni zapomnieli o nieszczęsnéj, skoro tylko przestała już być sprężyną ich polityki; — Filip II zajęty był wówczas bliższemi, groźniejszemi dlań sprawami; — Syxtus V papież szkodził raczéj jak pomagał; syn odrodził się wszelkiém uczuciem od doli własnéj matki; — Katarzyna Medycejska wreszcie i Henryk III, którzy z samego już położenia geograficznego swego kraju, powinni byli ją najbardziéj ratować, poświęcali ją umyślnie, nie życząc sobie przewagi Gwizjuszów. Na jakichże więc błachych i niepewnych podstawach opierały się nadzieje prześladowanéj!

XI.

Jakkolwiek książęta zapomnieli o osobie Marji Stuart, nie mogli jednak zapomnieć o niéj, jako o przedstawicielce katolicyzmu w Anglii i Szkocji. Przedstawicielstwo to gorzko musiała przypłacić, bo stało się ono hasłem nietylko katolików, lecz i celem nienawiści protestantów. Polityka i religia sprzęgły się razem na obalenie tego symbolu zawartego w osobie pognębionéj kobiety. Czuć było w powietrzu, że tylko śmierć jéj wyjaśni sytuację.

W tym-to czasie schwytał okręt angielski dwóch Szkotów: Creightona jezuitę, i duchownego Addy. Creighton byłto niezmordowany podżegacz sprzysiężeń — on to zmaczał rękę w podwójnym spisku na Anglię i Elżbietę. W chwili ujęcia, Creighton potargał jakieś papiery, a wiatr rozniósł szczątki na pokładzie okrętu. Z pozbieranych świstków wyczytano plan szerokiego sprzysiężenia ułożonego przez Filipa II i księcia Gwizjusza, mającego na celu najazd Anglii. Schwytani przyznali się na torturach do porozumień z Marją Stuart. Protestanci zawrzeli, wiążąc się w ligę przypuszczającą do udziału wszystkie warstwy, a mającą na celu ścigać do ostatka wszystkich, którzyby zagrażali bezpieczeństwu Elżbiety. Nie myślano tu o nikim innym, jak o Marji. Marja dowiedziawszy się o tém, a rachując ciągle na ów traktat przypuszczający ją do współudziału korony z Jakóbem, przyłączyła się sama dobrowolnie do zawiązania ligi, dodając, że: uważać będzie każdego za swego śmiertelnego wroga, który w jakibądź sposób czychałby na życie Elżbiety. Sądziła, że tém poniżeniem okupi jéj przyzwolenie na ów traktat.

Elżbieta rada była temu poniżeniu się rywalki, swoją zaś drogą umiała pozyskać do swoich celów Graya, pośrednika między Marją a Jakóbem VI. Gray porozumiawszy się serdecznie z ministrami angielskiemi, powrócił do Edynburga z powziętym z góry planem zdradzenia Marji i podkopania traktatu wracającego jéj życie i wolność. Był-to dyplomata bez najmniejszych skrupułów, a żądny tylko ustalenia fortuny.

Wśród tego znów nadszedł rozkaz przewienia Marji do Tutbury, więzienia, które dobrze już znała. Przybywszy tamże dnia 13 stycznia 1585 r., przejęta okropnością opustoszałego miejsca, błaga za pośrednictwem Burleigha o przebudowanie zapadającego się domu. Błaga również o powrócenie jéj koni, bez których niepodobna jest dla niéj odbywać konieczną dla zdrowia przechadzkę. Odmówiono prośbom, zatrzymano konie, ograniczono ją w wydatkach, przerwano komunikacje z synem, wyjąwszy wtedy, gdy się trafiały najgorsze nowiny. Tak naprzykład doręczono jéj list Jakóba VI, odpychający matkę od spółudziału w rządzie, spółudziału przywracającego jéj wolność. Poruszyło to Marję do tego stopnia, że chciała nań rzucić przekleństwo pomsty Boga, a zarazem wydziedziczyć ze swych praw do korony angielskiéj. Więzienie przetwarzało się zwolna w istny grób. Z oznak życia mało pozostało, chyba straszne wspomnienia, (Botwel umierający miał przysiądz na *zbawienie duszy, że królowa Szkocji jest niewinną zabicia Darnleja)* i wyrzuty sumienia! (Prosiła Grzegorza XIII o nadanie mocy kapelanowi odpuszczenia jéj grzechów, które tylko sam papież odpuścić zdolen. Może myślała o swéj winie? . . .).

Dnia 24 grudnia przewieziono ją znów do Chartlej, zamku hrabiego Essexa. Strzegło jéj 100 żołnierzy pod rozkazami Sir Amyasza Pawlet'a, zagorzałego i surowego purytanina, ale człowieka nieposzlakowanéj prawości. Na przechadzkach towarzyszyło jéj dwudziestu jeźdźców z Biblią w ręku, a z pistoletem w pięści.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SONATA ŻYCIA

przez **Wł. Ładę.**

Aus meinen Thränen fliessen
Viel blühende Blumen hervor.
Heine.

I. ADAGIO.

Ziemia, jak dziecię, znużona, wpółsenna,
Rosą błyszcząca, księżycem promienna;
Wietrzyk zachodni dobranoc jéj śpiewa,
Kołysząc rosę, i kwiaty, i drzewa.
Wonna jaśminu i róży gromada
Tuląc listeczki, do snu się układa,
Smukła topola cień swój na nią ściele.
Cichość, jak podczas ofiary w kościele,
A głos ptaszęcia skrytego gdzieś w cieniu
Brzmi, jako mszalny dzwon przy podniesieniu.

Tam, gdzie szpaleru arkada zielona
Wznosi do nieba powiewne ramiona,
Tam, blady młodzian, wśród ciszy uroczéj,
Posłał w przestrzenie swe myśli i oczy,
A myśl powraca, w szatę słów odziana,
Jak promień gwiazdy, na usta młodziana;
Wyniosłe czoło wsparł tęsknie na dłoni,
I cichą skargę z otwartych ust roni:

„Ziemio rodzinna! gdy do cię zdążałem,
Błogo tęskniłem — z boleścią witałem! . . .
Gdzież rówiennicy mych lat młodocianych,
Z któremim igrał na łąkach wiośnianych?
Gdzież towarzysze, wśród których zacząłem
Karmić się wiedzy szlachetnym żywiołem? . . .
Garść ta zasiewu, przyszłością ciężarna,
Pierzchła, zniknęła jak ołowiu ziarna,
Kiedy broń palna znienacka wystrzela . . .
I sam pozostał sam, bez przyjaciela!

ZYGMUNT.

„I czemuż jeszcze zostaję w téj stronie?
Czemu za szczęściem błędną myślą gonię?

„Szczęście! . . . Pamiętam, kochałem dziewicę,
Jéj oko — słońce, jéj duszę — krynicę . . .
Dzisiaj, gdy spojrzy na twarz tę wybladłą,
Nie spyta, czemu łez tyle z niéj spadło;
Swobodna, lekka, wesoło się bawi,
A mnie żal dręczy i rozpacz mnie trawi.
Dni mego szczęścia! gdzieście się podziały?
Czy piaski wieków na was się zsypały?

„Gdzie stąpię, spojrzę, tam kroczy przedemną
Widmo wspomnienia i patrzy wraz ze mną.
Progi domowe, to niby cmentarze;
W nich, jak nagrobki, zimne, obce twarze,
A każdy kątek, choć cisza dokoła,
Wyraz: pamiętaj! tysiącem ust woła;
Słyszę go z głębi ojcowskiéj mogiły . . .
Żelaznym palcem w mą duszę go wryły
Zmierzchłe nadzieje, kochanki utrata:
Zgon wpośród życia — pustynia wśród świata!

„O! gdybym twórczą pochwycić mógł księgę,
I wydrzeć Bogu tajemnic potęgę,
Wnetbym, w wiekowym stworzenia szeregu,
Zniszczył mą istność, albo zwolnił biegu;
Pierwsząbym kartę z tryumfem odwrócił,
Odepchnął duszę i ciało odrzucił,
Jednem skinieniem, lub jednym wyrazem
Wsteczbym się cofnął — i stanął znów głazem,
I żył przez wieki bez cierpień, omamień,
Głuchy jak kamień, i zimny jak kamień!

„Serce niesforne! nadzieją radośną,
Czy wróżbą zgonu uderzasz tak głośno? . . .

„Stało się . . . do niéj! . . . raz jeszcze powitam,
Raz jeszcze spojrzę, przemówię, zapytam . . .
Może jéj serce dawnem zabrzmi echem?
Może pierś szybszym zdradzi się oddechem?
Może, z obłędów chwilowych zbudzona,
Jak biały anioł spłynie w me ramiona?
Ha! nim skowronek pieśń ranną wydzwoni,
Na koń! i lecę tam, do niéj! ach, do niéj! . . ."

Zamilkł młodzieniec. Już nieba połowę
Krasiło światło jutrzenki różowe,
A z drugiéj strony, księżycem promienna,
Noc uchodziła pogodna, wiosenna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LITWINKA *).

Obrazek dramatyczny z czasów powstania 1863 roku,
w trzech Aktach,
napisał ***F. Łoziński.***

(Ciąg dalszy).

SCENA V.

ZOSIA *(sama).*

Ma racją staruszek: że ten Zygmunt ma w sobie coś odrażającego. Na jego widok zimno mi serce przeszywa, czuję do niego jakiś niepokonany wstręt i bojaźń; a jednak nic mnie nie upoważnia, żeby mu nie ufać, jest Polakiem, sam się ofiarował z usługą dla naszéj sprawy, memu ojcu winien tyle wdzięczności, czyż podobna przypuszczać, żeby nas zdradził. Pomoc jego rzeczywiście ważna, i zgrzeszyłabym przeciwko ojczyźnie, odrzucając ją dla próżnéj obawy.

SCENA VI.

ZOSIA, ZYGMUNT.

ZYGMUNT. Szczęśliwy jestem, że już panią stanowczo upewnić mogę o mojéj pomocy w waszych zamiarach; szczerze pragnę, żeby usługi moje były pani pożytecznemi i przyjemnemi, a mnie jéj łaskę zjednały. I oto zaraz próbuję dobroci pani dla mnie, ośmielając się ofiarować jéj ten ładny bukiecik.

ZOSIA. Rzeczywiście piękny, ależ nie wątpij pan, że ten podarunek prawdziwą robi mi przyjemność. Pozwól pan odejść na chwilkę, każę wstawić do wody.

SCENA VII.

ZYGMUNT *(sam).*

Przyjęła — to dobry znak — podług naszych zwyczajów panna przyjmując podarunek od młodego oficera, upoważnia go tém do spodziewania się większéj nagrody niż podziękowanie. Dla czegóżbym się nie miał jéj podobać, témbardziéj, kiedy nie widzę tu żadnego młodego mężczyzny. Jeden tylko ten pan Władysław, ale gdzież jemu do mnie, wieśniak, hreczkosiej, a ja za parę miesięcy major. Pani majorowa! kobietki lubią tytuły i rangi. Dziwna jednak rzecz, jakie ta dziewczyna robi na mnie wrażenie; nie wiem co w niéj więcéj podziwiać: czy piękność prawdziwie zachwycająca, czy ten urok jakiś, którego jeszcze w żadnéj nie widziałem kobiecie. Dotąd uważałem kobietę, ot tak sobie, za piękne cacko, zabawkę, a żenić się nie myślałem nigdy; ta zaś budzi chęci, uczucia, jakich we mnie

*) Autor zastrzega sobie prawo własności literackiéj.

nie bywało nigdy, a takie lube, słodkie, że się od nich myśl oderwać nie może. Dotąd byłem złym człowiekiem, co prawda to prawda, ale teraz, pod jéj wpływem, przemienia się cała moja natura; przy niéj możebym zdołał zmazać z duszy brud i samolubstwo. Patrząc na nią tracę zwykłą śmiałość, przejmuje mnie uszanowanie, cześć, i gotówbym na jéj skinienie rzucić się na bagnety, poświęcić wszystko! Albożto, co chcę zrobić dla niéj, nie jest wielkiém nawet poświęceniem; ja oficer ruski, zdradzam cara! rzecz niesłychana. To pachnie kulą w łeb.

SCENA VIII.

ZOSIA, ZYGMUNT.

ZYGMUNT. Dziękuję pani serdecznie, żeś raczyła przyjąć łaskawie mały mój podarunek, ta dobroć robi mi nadzieję, że i inne usługi zyskają względy i łaskę, które radbym ceną mego życia pozyskać.

ZOSIA. *(n. s. ze zdziwieniem).* O jakich on względach mówi i tak jakoś dziwnie na mnie patrzy.

(do Zygmunta): Szlachetne przysługi pańskie zyskają wdzięczność nie tylko moją ale i wszystkich tych, którzy korzystać z nich będą — upewniam pana.

Ale pomówmy o naszych zamiarach. Więc możemy już bezpiecznie przystąpić do działania?

ZYGMUNT. A tak, tak! proszę posłuchać. Dano mi do strzeżenia wasz powiat z rozkazem, ażebym nie dopuszczał formowania się band.

ZOSIA. Oh! band — czyż-to rozbójnicy!

ZYGMUNT. To jest — jakby to nazwać?

ZOSIA. Oddziałów.

ZYGMUNT. A, tak, oddziałów. Gdyby się jaki pokazał, ścigać go i rozbić, powstańców schwytanych z bronią w ręku, wieszać lub rozstrzelać; schwytanych bezbronnych, odsyłać związanych do gubernatora; aresztować w powiecie podejrzanych i robić rewizje, gdziebym je uważał za potrzebne.

ZOSIA. Ah, jakże to straszne posłannictwo! czyż wasze serca i sumienia nie wzdrygają się na myśl takiéj barbarzyńskiéj missji?

ZYGMUNT. Ha! my służymy carowi, rozkaz jego to rozkaz Boga! żadna dusza nie śmie się mu oprzeć.

ZOSIA. To niechże już Moskale, ale tam tylu naszych Polaków, czyżby i ich dusze takich rozkazów słuchały?

ZYGMUNT. Cóż robić—dymisji nie dadzą — chyba rannym.

ZOSIA. A, tobym wolała ręce sobie poobcinać niż je broczyć krwią braci. O! pan tego rozkazu nie spełnisz, jesteś dobrym Polakiem, urodziłeś się tu w naszych okolicach, miejsca te powinny być drogie sercu twojemu, przez pamięć na ojca i na matkę twoją.

ZYGMUNT. To głównie od pani zależy, jeżeli zechcesz, włos tutaj z głowy nie spadnie nikomu.

ZOSIA. Jeżeli ja zechcę? A mój Boże!—ależ proszę, błagam pana! kiedy możesz, oszczędź nam łez i rozpaczy, a sobie wyrzutów sumienia.

ZYGMUNT. Dobrze więc, słuchaj pani: kilka dni dopiero tu jestem, a już wiem: że szyjecie dla powstańców ubranie, zbieracie składki, że żyd, wasz pachciarz, przywozi broń, którą w lesie chowacie; że jutro wasz sąsiad, pan Władysław, wysyła ludzi do bandy, przepraszam . . . do oddziału, że . . .



Klasztor Karmelitek bosych w Krakowie.

ZOSIA. Jezus Marja! zkąd pan to wiesz?

ZYGMUNT. Ja wiem wszystko, muszę wiedzieć, po to tu jestem. Za to co wiem mógłbym was wszystkich aresztować i poszlibyście na Sybir, lub możeby was za to jeszcze co gorszego spotkało.

ZOSIA. Truchleję cała!

ZYGMUNT. Nie bój się pani, szczęście wasze! że mnie tu

przysłali. Ja nietylko wam nic złego nie zrobię, ale owszem pomagać będę; trzeba tylko działać ostrożnie i rozumnie. Ja będę stał kwaterą na folwarku pod lasem, w lesie tym składajcie broń i niech się w nim powstańcy zbierają. Potrzeba mi jednak koniecznie donosić o wszystkich szczegółach waszego działania, żebym wiedział jak moich żołnierzy rozsyłać, i kiedy w lesie, o którym mówimy, zarządzać rewizję.

Tu we dworze zostawię żołnierza Iwana, niby na kwaterze, to człowiek wierny i pewny, przez niego możesz mi pani śmiało o wszystkiém donosić. Ja zaś z mojéj strony, uprzedzę również panią, gdyby wam jakie niebezpieczeństwo groziło.

Zosia. Straszniejsze to wszystko niż sobie wyobrażałam. Boże strzeż od jakiego nieszczęścia! Ale ojczyzna potrzebuje pomocy, i wahać się byłoby zbrodnią.

Zygmunt. Dopóki ja tu jestem, nie potrzebujecie niczego obawiać się; tymczasem może się to jako dobrze zakończy; proszę tylko o jak najściślejszą tajemnicę; prócz interesowanych nikt więcéj wiedzieć o tém nie powinien.

A jak się już wszystko po waszej myśli powiedzie, wówczas upatrzę stósowną chwilkę, napadnę jaki oddział, i słuchając twojéj rady panno Zofio, zranię się, dostanę skutkiem tego dymisję z rangą i pensją majora, i przyjdę po zasłużoną nagrodę.

Zosia. O, tak panie! za tak wielką zasługę, wielką też będziesz miał nagrodę: w szacunku ziomków i własném uznaniu.

Zygmunt. Uznanie ziomków, własne przekonanie — tak, to wielka nagroda; ale ja i od pani saméj spodziewam się nagrody.

Zosia. O, i mieć ją pan będziesz, na jaką się tylko moje serce zdobyć potrafi.

Zygmunt. Trzymam panią za słowo, i pozwól sobie zawczasu podziękować za szczęście, na które będę się starał rzetelnie zasłużyć.

(całuje ją w rękę, wchodzący ojciec widzi to).

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCJA.

Lwów, 14 sierpnia 1869 roku.

(P. S.) Pod bardzo pomyślną wróżbą rozpoczynam moje korespondencje, gdyż o narodowym święcie obchodu Unji Polski, Rusi i Litwy mówić wam będę. Powaga trzech wieków składała się na doniosłość chwili; trzy wieki staną widomie przed oczami świata, w kopcu który sypiemy na wieków pamiątkę. Trzy wieki — a jakaż różnica! Potężne państwo od morza do morza, federacja trzech narodów wolnych i równych sobie, — i naród rozćwiertowany na części, przecięty kordonami, rządzony przez obcych . . . Smutno! . . . . A jednak nie nam to w duchu się korzyć! nie nam popadać w zwątpienie. Trzy wieki wstecz, potężny naród nosił w sobie zarody przyszłéj zguby — dzisiaj nowemi wzbogacony siły, odradzający się, ku przyszłości drżące wyciąga ramiona . . . Hosanna!

W dniu 11 sierpnia miasto nasze przybrało uroczystą postawę: sklepy pozamykane, przekupnie ustąpili z rynku, ludność w strojach odświętnych od świtu roiła się ulicami, dążąc do kościoła Dominikańskiego.

Pomimo ulewnego deszczu, nietylko że kościół był przepełniony, ale miejsce przed świątynią, kamienice ulic sąsiednich były zajęte przez tych, którzy nie znaleźli miejsca w świątyni. Nabożeństwo było solenne; kazanie mniéj odpowiadające uroczystości chwili, chociaż zawierające ustępy prawdziwie obywatelskie. Mszę śpiewało Towarzystwo przyjaciół śpiewu, w którém odszczególniał się piękny barytonowy głos p. K. Po odśpiewaniu „Boże coś Polskę“ tłumy, pod przewodem naszego nestora Smolki, ruszyły ku Wysokiemu zamkowi. Deszcz lał nieustannie. Mimo to na zamkowym szczycie znaleźliśmy się w liczbie prawie dwutysięcznéj, skupieni wokoło kamienia węgielnego pod kopiec. Kamień w kształcie sarkofagu, pochodzący z pracowni rzeźbiarza Filipiego, miał na sobie herby połączonych narodów Polski, Litwy i Rusi, obok daty Unji noszący napis: „Wolni z wolnymi, równi z równymi!“ Kilkoma słowy przemówił do zgromadzonych czcigodny poseł Smolka, zalecając, by wobec zakazu władz nie nadawano uroczystości cechy zgromadzenia ludowego. Wziąwszy w rękę garść ziemi, pierwszy rzucił ją na węgielny kamień, zachęcając, by czynili to inni, aż urośnie widomy znak łączności narodów, którą utrzymać chcemy, aczkolwiek dalecy jesteśmy od przymuszania kogo do przymierza z nami. Sypali ziemię następnie reprezentanci miasta i wychodźtwa polskiego.

Zaczęła się uroczystość. Z wyjątkiem niektórych, co nieobecnością swą dowiedli, że w pracy narodowéj współudział ich nieważy — znajdowało się tu wszystko, cokolwiek wchodzi w skład narodu: mężczyzni, kobiety i dzieci, inteligencja i ludzie pracy, duchowni, wojskowi i urzędnicy, włościanie i rzemieślnicy, żydzi, niemcy nawet, którzy z nami żyć pragną . . . nie brakło nikogo! Ulewny deszcz jakby podniętą był do pracy. Łomy, rydle, taczki, w momencie przysporzyły materjału. W kilka minut kamienie jakie się tylko znaleźć mogły poszły pod fundament. Ziemię noszono w chustkach, połach surdutów i sukman, w fartuszkach pań, w czapkach i garściami. Płakaliśmy z rozrzewnienia, ważnością aktu przejęci. Po niedługiéj chwili przybyła deputacja, niosąca na srebrnéj tacy ziemię *Sołowjówki*, pamiętnéj męczeństwem najszlachetniejszych synów Polski, Rusi i Litwy, pomordowanych za wolność ludu. Znalazła się ziemia z grobu Mickiewicza, Słowackiego, Kościuszki, Konarskiego i Wiśniewskiego — gienjuszów i męczenników narodu — i za godzin kilka widniał nasyp, przy którym tysiące pracują w téj chwili, pracować będą długo, aż wyjdzie ku niebu i głośno zawo-

ła: „Równi — dla wolności! ku wiecznéj pamięci!“ świadcząc o życiu narodu! . . .

Pięknego dnia dożyliśmy, bracia i siostry z pod Wawelu! Duchem złączeni, czuliśmy tę łączność, w każdym wiatru powiewie dosłuchując się głosu narodu z nad Wisły, Niemna i Dniepru, od mórz i stepów, od pól i lasów. Krępowano nam ręce — ducha nie okuto! i był on wraz z nami u podnóża kopca, który na wieczną pamiątkę — *naród* usypie! —

I ciałem stała się chęć narodu, gorąca jego żądza łączności!

Bez uprzedniego porozumienia się, w salach restauracji na zamku, cudem prawie znaleźli się reprezentanci wszystkich dzielnic Polski i społem u biesiadnego stołu zasiedli: Polacy, Rusini i Litwini. Po przemówieniu p. Smolki, zabierali głos inni mowcy: p. *Jolles* izraelita, reprezentant wychodźtwa p. *K. Ostrowski*, ks. *S.* z emigracji, pp. *Widmann*, *Romanowicz* i inni. P. *Platon Kostecki*, w języku ruskim protestował przeciwko słabym agitacjom separatystów, które znalazły swój wyraz w dwóch bezimiennych broszurach po moskiewsku i niemiecku napisanych.

Liczne telegramy z kraju i zagranicy odczytywane były podczas obiadu. Szereg ich ogłaszają pisma publiczne.

Wieczorem całe miasto rzęsiście było oświecone, w teatrze mieliśmy przedstawienie uroczyste. Pełen głębszéj myśli obraz z żywych osób i „Jeszcze Polska nie zginęła“ odegrane przez orkiestrę, zentuzjazmowały nadzwyczaj licznie zebraną publiczność.

Tak uczciliśmy pamiętny dzień 11 sierpnia, a wraz z nami święcił go naród cały na obszarze zajmowanym przez dawną Polskę. Wierzymy, że ukrzepił on nas i wzmocnił; a jakkolwiek związek trzech narodów trwał nieprzerwanie, silniejszym jest on teraz, usymbolizowany w wznoszącym się kopcu. Wierzymy, że ani jeden z narodu, w którego to możności będzie, nie omieszka garść ziemi dorzucić do pomnika naszéj łączności.

Kościół Ś. Teresy wraz z klasztorem pp. Karmelitek bosych na Wesołéj.

Kościół ten założony w roku 1719 przez Jana Szembeka kanclerza wiel. koron. i żonę jego Ewę z Leszczyńskich wojewodzinę kaliską.

W wielkim ołtarzu kościoła znajduje się obraz Świętéj Teresy, jak się zdaje malowany w drugiéj połowie XVII wieku. W zakrystji zaś jest ornat haftowany ręką Marji Leszczyńskiéj, oraz relikwiarz z karteczką, na któréj według podania, ma być ręką Św. Teresy napisane *Jesus amor noster.*

Kościół cały wraz z klasztorem otacza mur, na kilka łokci wysoki, obejmujący piękny i dosyć obszerny ogród.

α. δ. **Kronika.** — *Uwagi i wnioski nad wycieczką do Cieszyna. — Poznańczycy lękliwy naród.— Kalendarze ratują młodzież wizytującą. — Dyplomy na doktorów pozwalają wiele sądzić o sobie.*

Jedziesz do Cieszyna? Jestto ogólne dzisiaj pytanie. — Pojechałbym, tylko mi jednéj brakuje rzeczy niezbędnéj do odbywania wszelkiéj podróży — pieniędzy. Ogólna na to pytanie odpowiedź. A wniosek z ogólnego pytania i ogólnéj odpowiedzi jest nader smutny — że, ponieważ na bruku krakowskim nie rodzi się żyto ani pszenica — urodzaje więc nie wpływają wcale w czasie żniw na stan kieszeni szanownych mieszkańców Krakowa. Jaki-taki wreszcie, zaoszczędzony grosik i nie oddany jeszcze na cele miłosierne, woli zachować na sławnego Rappego, aby przecie zobaczyć coś ciekawego na téj ziemi, za życia. — Mimo to jednakże, jak się dowiadujemy, liczne towarzystwo wybiera się z Krakowa w gościnę do Szlązaków, którzy serdecznie nas pod swój dach zapraszają. A jeżeli Poznańczycy bali się przyjechać do nas, abyśmy na ich widok nie zrobili rewolucji, za to Szlązacy odważniejszego są widać ducha, kiedy nie boją się przyjąć u siebie Krakowczyków z rozdrażnionemi (w skutek upałów zapewne) umysłami.

Że zaś głowy, szczególniéj młodzieży naszéj, nie są zbyt wykwintnie zaopatrzone — miałbym wszelkie prawo przypuścić, gdybym nie ufał w miłosierdzie Opatrzności i w dowcip kalendarzy na rok 1869. — Dla czego kalendarzy? — opowiem.

Zdarzyło mi się, żem spotkał temi dniami jednego z moich przyjaciół u księgarza, kupującego sobie kalendarz na rok 1869.

Powiedz mi, kochany Ferdziu, na co tobie kalendarz, spytałem, gdyśmy wyszli na ulicę.

— Ato widzisz, idę na wizytę, i chcę sobie przeczytać kilka dowcipów, aby mi nie zabrakło przedmiotu do rozmowy z pannami.

Łzy mi się zakręciły w oczach, gdym sobie wyobraził tego barbarzyńcę i rozbójnika salonów krakowskich torturyzującego panny kalendarzem, i byłbym może zwątpił w postęp rozumu ludzkiego, gdyby nie to, że przyjaciel mój Ferdzio za tydzień ma usieść do egzamenu Doktorskiego, a następnie starać się o katedrę literatury polskiéj na wszechnicy tutejszéj.

*** Dnia 4 i 5 września r. b. ma się odbyć w *Pradze* uroczystość 500-letniéj pamiątki urodzin *Jana Husa*, zaś dnia 6 września w *Husińcu*, miejscu urodzenia wielkiego reformatora, którego zasady tak krwawo bronione przez Czechów — dzisiaj wydają owoce.

Korespondencja „Kaliny.“

P. **W. Cz.** w Samborze — pani **J. Ha.** w Tarnobrzegu — i pani **Tekli Jo.** w Przemyślu. — Żądane numera „Kaliny“ wysłaliśmy 14 t. m. Nieregularność zaś w odbieraniu tygodnika naszego, tylko poczcie przypisać należy, gdyż pilnie baczymy na to, aby Szanownym Prenumeratorom „Kalina“ regularnie była wysełaną.

Pani **R. S.** we Lwowie. — Portretu p. Barbary Ubryk o ile wiemy, żaden fotograf tutejszy nie posiada.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*